

MISTRZOWIE ŚWIATA I MAŁGORZATA



Siedzą Leokadia i Grzegorz Przebindowie oraz pies Cyryl. Stoją Aneta i Igor.

Felietony

- 20 Katarzyna Nosowska
Gryząc piórko
- 22 Katarzyna Miller
Od A do Z
- 24 Artur Andrus
Szwagier Gierka
- 26 Tomasz Jastrun
Czułym okiem
- 28 Maciej Stuhr
Tata Tadzika
- 212 Szymon Majewski
Życie w pożyciu

Temat miesiąca

- 30 Jak być kobietą

Spotkania

- 38 Maryla Rodowicz
Nie podda się, choć łatwo nie jest
- 46 Jerzy Owsiak
Prasowanie to odjazd!
- 52 Przebindowie
Rodzina tłumaczy, którzy odświeżyli Bułhakowa
- 60 Ryan Gosling
Śpiewa, tańczy i stepuje
- 64 Beata de Robien
Córka Stalina i inne kobiety
- 70 Tomasz Bagiński
Kino z wizualnym wyposażeniem
- 76 Anna Figura
Bieganiem na szczyt
- 80 Ireneusz Czop
Muszę pracować

Wokół nas

- 88 Reportaż Mistrzostwa świata
w piłce nożnej dzieci z domów dziecka
- 94 Przeglądarka Anny Janko
- 96 Eko? Logiczne!
Raport o stanie Ziemi
- 98 Lustro naszych czasów
Prywatność w sieci



MISTRZOWIE ŚWIATA I MAŁGORZATA

Rzadko nowy przekład książki wywołuje tyle zamieszania. A tu proszę – artykuły, wywiady, spotkania z czytelnikami. Chodzi o książkę niezwykłą, najchętniej czytane arcydzieło współczesnej literatury. Ale i samo tłumaczenie to ewenement na skalę światową. Kto słyszał, żeby nad jedną powieścią pracowała wspólnie cała rodzina? Cztery osoby, przedstawiciele dwóch pokoleń – *Leokadia, Grzegorz, Igor i Aneta Przebindowie.*

Tekst ZOFIA FABJANOWSKA-MICYK Zdjęcia JACEK URA

Po co? To pytanie pada prawie zawsze, niezależnie od słów uznania. Po co znowu tłumaczyć „Mistrza i Małgorzatę”, skoro przekłady mamy już dwa (z 1969 i z 1995 roku), wszyscy się na nich wychowaliśmy. Czy coś było z nimi nie tak? A może to sprawa mody? Na fali nowych tłumaczeń klasyki przyszedł czas na Bułhakowa? Kiedy zapytamy o to rodzinę Przebindów, odpowiedzą, że każde pokolenie ma prawo do własnego przekładu. Język się zmienia, trzeba za tymi zmianami nadążyć. ➤



Siedzą Leokadia i Grzegorz Przebindowie oraz pies Cyryl. Stoją Aneta i Igor.



To w teorii, czas na konkrety. Po co? Choćby dla takich fragmentów, jak ten z pierwszego rozdziału. Pamiętnego, rozgrywającego się na moskiewskich Patriarszych Prudach. Redaktor Berlioz za chwilę dowie się (od siedzącego na ławce podejrzanego cudzoziemca, a w rzeczywistości samego diabła – Wolanda), że jeszcze tego samego dnia zginie pod kołami tramwaju, a jego odcięta głowa będzie się toczyć po moskiewskim bruku. „Tak, człowiek jest śmiertelny, ale (...). Najgorsze jest to, że bywa śmiertelny znie-nacka” – te słowa wypowiedział Woland. Świetny przykład, jak działa „efekt Przebindów”. Dla porównania to samo zdanie w pierwszym przekładzie Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego z roku 1969: „Tak, człowiek jest śmiertelny (...). Najgorsze, że to, iż jest śmiertelny, okazuje się niespodziewanie (...)!”.

Weźmy inny wdzięczny fragment z nowego przekładu:

„– To wódka? – zapytała [Małgorzata] słabym głosem.

Dotknięty do żywego kot aż zatańczył na krześle.

– Litości, królowo! Czy ośmieliłbym się proponować damie wódkę? To czysty spirytus!”.

Potoczysty język, melodia zdań, która w rosyjskim oryginale decyduje o geniuszu Bułhakowa, były dla rodziny polskich tłumaczy najistotniejsze. Czelowali każde słowo, przy okazji odkrywając przed czytelnikiem nieścistości innych

przekładów. Już w drugim zdaniu powieści Przebindowie obalają mit, jakoby elegant Berlioz trzymał w ręku kapelusz zgięty wpół. Gest, który przetrwał w głośnej inscenizacji „Mistrza i Małgorzaty”, spektaklu Teatru Telewizji w reżyserii Macieja Wojtyzki (z Anną Dymną, Gustawem Holoubkiem i Januszem Michałowskim w rolach głównych), z punktu widzenia logiki nie ma większego sensu. Po co giąć i niszczyć cenny element garderoby? Tymczasem dowiadujemy się, że ów zgięty wpół kapelusz to po prostu rodzaj nakrycia głowy z charakterystyczną bruzdą u góry. Najbliżej mu do fedory, którą nosił filmowy Indiana Jones.

Zwyczajna żarówka w pierwszym przekładzie „Mistrza i Małgorzaty”, wisząca, nie wiedzieć czemu, na suficie w kącie przedpokoju, okazuje się w oryginale żarówką węglową. Po rosyjsku kąt to „ugoł”, a węgiel – „ugol” [miękki znak na końcu – przyp. red.]. Łatwo się pomylić. Z kolei tajemniczy „zubrik” serwowany w restauracji Domu Literatów nie jest ani wykwinną sarniną, ani tym bardziej – jak można znaleźć we francuskim czy angielskim tłumaczeniu – setką żubrówki, ale pospolitą potrawką z mięsa, podsmażaną z serem i śmietaną, co potwierdza w przypisach u Przebindów petersburski mistrz kuchni Ilja Łazerson. Podobne szczegóły, ciekawostki, dowcipne komentarze, ukryte sensy układają się w osobną opowieść, rozpiętą na poszczególne hasła. Razem 120 stron

PORÓWNAJ

(Z ROZDZIAŁU „OSTATNIE PRZYGODY
KOROWIEWA* I BEHEMOTA”)

JEST:

– Ostatnią deską ratunku dla śmiertelnie rannego kota – oznajmił Behemot – jest tyczek benzyny. Wykorzystując zamieszanie, przyssał się do prymusa i zatankował. Krew spod przedniej lewej łapy momentalnie przestała cieknąć, a kocur, cały i zdrów, zerwał się na równe nogi, wsadził prymus pod pachę i śmignął z powrotem na kominek.

BYŁO:

– Jedyne, co może uratować śmiertelnie rannego kota – odezwał się kot – to maleńki tyczek benzyny – i, wykorzystując zamieszanie, przypiął się do okrągłego otworu w prymusie i napił się benzyny. Krew natychmiast przestała się sączyć spod jego lewej przedniej łapy... Kot poderwał się, żwawy i rześki, porwał prymus pod pachę, śmignął wraz z nim z powrotem na kominek (...).

(tłum. Irena Lewandowska/Witold Dąbrowski)

*Dziś, dzięki ocalałemu archiwum Michaiła Bułhakowa, wiadomo, że bohater jego książki nazywa się Korowiew, a nie, jak w poprzednich przekładach, Korowiw.

przypisów dołączonych do i tak solidnego tomu. Przebindowie zakładali, że wspólna praca nad przekładem zajmie im rok. Wyszły z tego ostatecznie dwa lata, ale „Mistrz i Małgorzata” to znacznie większy kawałek ich życia.

Różnij pan marsza

Sutereńka trochę jak ta, w której Małgorzata odwiedzała ukochanego Mistrza. Z tą różnicą, że nie chodzi o kamienicę w Moskwie, tylko gierkowski kubik z pustaków w Kłokoczynie pod Krakowem. Jest pierwsza połowa lat 80. Młode małżeństwo Przebindów zagnieździło się tu, ale nie, jak sami mówią, jako siła nieczysta, lecz para filologów, która zwyczajnie nie miała gdzie mieszkać. Szczytem ich marzeń był pokój dla rodziny z dzieckiem w miasteczku studenckim w Krakowie. Nie dostali przydziału, więc zdecydowali się na przeprowadzkę na wieś, tam przynajmniej mogli liczyć na lokal mieszkalny (czytaj: wspomnianą sutereńkę). Leokadia Przebinda, nazywana przez bliskich Anią, zatrudnia się w tutejszej szkole, żeby jej mąż Grzegorz mógł kontynuować prace badawcze. Świeżo upieczony absolwent filologii rosyjskiej na UJ dostał właśnie propozycję nie do odrzucenia, powód do dumy – przygotowanie przypisów do specjalnej edycji „Mistrza i Małgorzaty” wydawanej w Ossolineum, gdzie publikują na ogół doświadczeni badacze, z poważnym

dorobkiem i siwymi brodami. Mają to być naukowe komentarze, o własnym przekładzie nie ma jeszcze mowy. Zresztą to nie na temperament Grzegorza. „Szkoda pana na tłumacza!” – powie mu jeden z profesorów.

Mały Igor ma wtedy dwa lata. Telewizora nie mają, a i tak nie byłoby specjalnie co oglądać, nadal trwa stan wojenny. Chłopiec krąży wokół pochylonego nad przypisami ojca, zagląda mu przez ramię. „Tato, jaka to literka?”. „A ta?”. W ten sposób, jako trzylatek, nauczy się czytać.

Po raz pierwszy sam sięgnie po powieść Bułhakowa, kiedy wróci całą rodziną do Krakowa. Najpierw do wyczekiwanego pokoju w hotelu asystenckim (12 metrów kwadratowych, składany stół na haczyk, żeby można było rozłożyć łóżko; dla nich raj, który wspominają z nostalgią), potem wreszcie do własnego mieszkania. Igor jest w trzeciej, czwartej klasie podstawówki, zachwyca się arcydziełem Bułhakowa, ale czyta je po swojemu, głównie „rozdziały karnawałowe”, gdzie czarcia banda wymierza sprawiedliwość na ulicach Moskwy. Do żadnej innej książki nie wróci tyle razy, przechodząc kolejne stopnie wtajemniczenia – odkrywa dla siebie genialne rozdziały biblijne, których nie był w stanie docenić i zrozumieć ani jako dziecko, ani nastolatek.

Ciekawe, że jego o osiem lat młodszą siostrę Anetę także dość szybko dopada słabość do „Mistrza i Małgorzaty”. Z tą różnicą, że ona zna na pamięć całe fragmenty z drugiego przekładu (autorstwa Andrzeja Drawicza), a Igor z pierwszego. Każde upiera się przy swoim. Urządzali sobie bitwy na najlepsze kawałki. „Gratuluję wam Igarstwa, obywatelu” czy „Gratuluję wam obywatelu Igarzu”? Które tłumaczenie brzmi zgrabniej? „To wyście jedna banda”, a może „To wyście jedna sitwa”? Albo ten fragment, według Anetki bezkonkurencyjny, kiedy w teatrze Variétés świta Wolanda daje pokaz czarnej magii, a kot Behemot na zakończenie wrzeszczy: „Różnij pan marsza, maestro!”. To, że od małego fascynowały ją językowe łamigłówki, zawdzięcza przede wszystkim mamie. Sławistce z doktoratem z polonistyki, redaktorce związanej przez lata z Polską Akademią Nauk, wykładowczyni. Dla Leokadii, czyli domowej Ani, tłumaczenie z rosyjskiego było hobby. Jeśli jakiś kawałek szczególnie jej się spodobał, siadała i się z nim mierzyła, nierzadko wciągając w to także dzieci. Z małą Anetą rozpracowywały choćby bajki Puszkina. Chodziło nie tylko o naukę rosyjskiego, lecz także o mierzenie się z inną mentalnością narodową, innym sposobem wyrażania emocji (Leokadii błyszczą się oczy, kiedy o tym opowiada). Pierwszy przykład z brzegu: ile mamy po polsku rzeczowników wyrażających smutek? Dwa, góra trzy, jeśli do żalu dodamy jeszcze przygnębienie. A w rosyjskim jest siedem, w tym unikatowe wyrażenie „rocka”, w którym zawierają się i nostalgia, i tęsknota. Dokładnie taka jak ➤

PORÓWNAJ

(Z EPILOGU)

JEST:

„I pamięć Mistrza, jego niespokojna, boleśnie poktuta pamięć, zaczyna przygasać. Ktoś daje mu wolność, tak jak i on uwolnił przed chwilą stworzonego przez siebie bohatera. Bohater ów odszedł w bezkres, odszedł bezpowrotnie, dostąpiwszy przebaczenia w noc przed zmartwychwstaniem*(...)”.

BYŁO:

„Jego trwożna, skłuta igtami pamięć zaczęła przygasać. Ktoś uwalniał Mistrza, jak on sam uwolnił przed chwilą stworzonego przez siebie bohatera. I bohater ten, dostąpiwszy przebaczenia w sobotnią noc, odszedł w otchłań (...)”.

(tłum. Andrzej Drawicz)

*W języku rosyjskim różnica między „niedziela” a „zmartwychwstaniem” to jeden małeńki znak. Siódmy dzień tygodnia to „воскресенье”; zmartwychwstanie zaś „воскресение” – i tak właśnie jest u Bułhakowa.

ze sztuk Czechowa, związana przede wszystkim z bezkresnymi przestrzeniami Rosji. Tylko że u nas w Polsce nie ma bezkresnych przestrzeni, musimy więc szukać własnych odniesień i środków wyrazu. A rosyjska „dusza”? Czasem to nasze „serce”, trzewia, a czasem nieprzekładalna na język polski wrażliwość, unikalne spojrzenie na świat. Prawdziwe wyzwanie dla tłumacza.

– Pan jest ojcem tego Igora?

– Ja. A o co chodzi?

– Nie spotkałam nigdy w życiu faceta, który potrafiłby wyznaczyć z polszczyznę takie rzeczy”.

Taką z kolei scenę opisuje z nieskrywaną dumą Grzegorz. Powyższe słowa usłyszał całkiem niedawno od „dwudziestokilkuletniej panny” próbującej go wyprzedzić na ścieżce biegowej. Głowa domu Przebindów jest maratończykiem, ale do tego jeszcze dojdziemy. Jak i do tego, co i gdzie wyprawia jego syn Igor z polszczyznę. Na razie przyjmijmy za pewnik, że w tej rodzinie słowo, szczególnie pisane, miało zawsze wyjątkowe znaczenie. A jednak żadne z dzieci Przebindów nie poszło śladem rodziców na studia filologiczne. Igor wybrał filmoznawstwo, Aneta – socjologię.

I naprawdę długo nic nie wskazywało na to, żeby mieli porwać się na międzypokoleniowe tłumaczenie jednej z najważniejszych książek w historii literatury.

Tłumaczymy!

Grzegorz Przebinda. Rusycysta i historyk idei, profesor zwyczajny na Uniwersytecie Jagiellońskim, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Stanisława Pigońa w Krośnie. Autor dziewięciu książek, wielu tłumaczeń oraz ponad 300 artykułów i esejów po polsku, rosyjsku, angielsku,

francusku, czesku, ukraińsku i białorusku, a nawet fińsku (nauka języków to jedna z jego pasji). Uehonorowany odznaką „Zasłużony dla kultury polskiej”, medalem Komisji Edukacji Narodowej, a w roku 2015 Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za zasługi w pracy naukowo-badawczej. Od sześciu lat zapalony maratończyk. Wcześniej grał w piłkę, „ale koledzy z drużyny się wykruszyli”, i jeździł na rowerze, aż rower ukradli. Uznał, że z butów nie każą mu wyskakiwać, więc zaczął biegać. Pierwszy był maraton krakowski, dzisiaj ma na koncie 14 innych, m.in. w Jerozolimie, Bostonie, Nowym Orleanie, Stambule, Sewilli, Moskwie, Petersburgu, Wilnie, Paryżu, a w tym miesiącu w Atenach. Dobra okazja, żeby wyjechać z kimś z rodziny. Przyjęło się, że na miejscu obowiązkowo kupują egzemplarz „Mistrza i Małgorzaty”. Gdyby zliczyć wszystkie zagraniczne przekłady, które w ten sposób zdobyli, dodać te podarowane przez przyjaciół plus wydania polskie i rosyjskie, w sumie zebrałoby się ze 40 egzemplarzy. Co powiedziałby Bułhakow, widząc taką kolekcję? Sam nie zdążył się przekonać, że stworzył czytane na całym świecie arcydzieło. Jego powieść w ogóle nie ujrzała światła dziennego, gdyby nie żona pisarza Jelena Siergiejewna. Dzięki jej niezłomności książka, jeszcze w ocenzonej wersji, została wydana ponad ćwierć wieku po śmierci Bułhakowa. W jednym z rozdziałów „Mistrza...” bufetowy Sokow dowiaduje się, że zostało mu dziewięć miesięcy życia. Pisząc te słowa, autor wiedział już, że sam jest śmiertelnie chory. Straciwszy wzrok, dyktował poprawki żonie. Do momentu, kiedy był jeszcze w stanie.

W naszym kraju mało kto tyle wie o Bułhakowie, co Grzegorz Przebinda, a przede wszystkim nikt chyba nie potrafi tak o nim opowiadać. Ale też o Rosji w ogóle, także tej współczesnej.

W rozdziale „Jak zdemaskowano czarną magię” za kulisami teatru Variétés kot Behemot opisuje się, przechadzając się na dwóch tapach, nalewając sobie wodę do szklanki i wycierając wąsy. „Wszystkich wokół zatkało, ludzie stali z otwartymi ustami, a zachwycony charakteryzator wyszeptał:

– Ale kocur!.*”

*Jeśli ktoś wie, że w młodzieżowym slangu powiedzenie „Ale kocur!” znaczy tyle co „Super!” („Słyszalesz już tę piosenkę? Ale kocur!), ma z czytania podwójną przyjemność.

Z entuzjazmem, żalem, nawet gniewem, nigdy obojętnie. Tym bardziej zaskakujące jest to, co mówi o swoim pierwszym zetknięciu z „Mistrzem i Małgorzatą”: – Wiedziałem, że mam do czynienia z wielką powieścią, ale o iluminacji nie mogło być wtedy mowy.

Tym bardziej że po raz pierwszy czytał tę książkę od razu w oryginale, co dla niego, studenta drugiego roku, było nie lada wyzwaniem. Wcześniej nie miał okazji sięgnąć po polski przekład. Wychował się na wsi w Wołowicach nad Wisłą pod Krakowem. I chociaż ciężko pracujący ojciec podrzucał mu książki Jacka Londona, a żyjąca do dziś mama przywoziła z Krakowa książki Lema, to do Bułhakowa i Dostojewskiego dochodził sam.

Coś w rodzaju iluminacji przeżył w maju 1981 roku. Na wykładzie Andrzeja Drawicza, słynnego tłumacza literatury rosyjskiej, krytyka literackiego i działacza opozycji (w nowej Polsce dyrektora telewizji). Słuchając go z zapartym tchem, podjął jedną z ważniejszych, jak się okazało, decyzji w życiu. Wiedział, że wykładowca jeszcze tego samego dnia jedzie do Warszawy. Sam miał jechać do żony do Kielc dwa

dni później, ale tak to wszystko zaaranżował, że pojechali z Drawiczem tym samym pociągiem. Podróż do Warszawy trwała wówczas w sumie około siedmiu godzin, po drodze był m.in. Jędrzejów, no i Kielce. Przez dwie godziny wspólnej drogi Grzegorz czuł się, jakby wygrał milion. Wypytywał i słuchał. O Cwietajewej, Achmatowej i oczywiście o Bułhakowie. Tamta podróż była początkiem przyjaźni i współpracy trwającej aż do śmierci Andrzeja Drawicza w 1997 roku. To on zaproponował Grzegorzowi stworzenie przypisów do specjalnego wydania „Mistrza...” w Ossolineum. Tego samego, dzięki któremu trzyletni Igor nauczył się czytać. A kiedy tata siedział z nim sam w domu i za bardzo zagłębiał się w pracę, Igor upominał go legendarną dziś dla rodziny Przebindów frazą: „Pilnuj mnie, tato!”.

W pierwszej połowie lat 90. Drawicz sam zdecydował się na przekład „Mistrza i Małgorzaty”. O opracowanie znowu poprosił Grzegorza.

– Wiem, po co chciał przełożyć tę książkę – mówi Przebinda z nutą goryczy w głosie. – Czuł chropowatości pierwszego tłumaczenia i chciał nadać melodię przekładowi, ale ➤

MICHAŁ BUŁHAKOW

MISTRZ I MAŁGORZATA

W nowym przekładzie

50 50

znak

NOWY PRZEKŁAD

Premiera 26.10.2016

PORÓWNAJ

(Z ROZDZIAŁU „MAŁGORZATA”)

JEST:

„Obok ławki snuli się obojętnie jacyś ludzie. Któryś z mężczyzn zerknął ukradkiem na Małgorzatę. Przyciągnęła jego uwagę nie tylko strojem i urodą, ale i aurą samotności, którą wokół siebie rozciągała. Mężczyzna chrząknął, przysiadł na krawędzi ławki, wziął głęboki oddech i przemówił:

– Stosunkowo ładną mamy dziś pogodę, nieprawdaż...

Małgorzata pogardliwie zmierzyła go wzrokiem i odszedł jak niepyszny”.

BYŁO:

„Ludzie przechodzili obok Małgorzaty. Jakiś mężczyzna spojrzął spod oka na dobrze ubraną kobietę, zainteresowała go jej uroda i samotność. Odkasznął i usiadł na brzeжку tej samej ławki, na której siedziała Małgorzata. Zacerpnął tchu i powiedział:

– Jednakowoż ładną mamy dziś pogodę...

Ale Małgorzata popatrzyła na niego tak posępnie, że mężczyzna wstał i odszedł”.

(tłum. Irena Lewandowska/Witold Dąbrowski)



zafascynowany tą melodią nie do końca trafnie przekładał na polski. On, który słynął z hiperpoprawnej polszczyzny, on, mój niekwestionowany mistrz, zrobił to w pół roku, a to zwyczajnie za szybko.

Pora na decydujący moment. Kto w takim razie w rodzinie Przebindów zarządził, że kultową powieść przetłumaczą oni? W pewnym sensie Leokadia. Pierwsza wzięła się za pojedyncze fragmenty „Mistrza...”. W dodatku wspomniała o tym Marii Makuch, cenionej redaktorce i tłumaczce, a ona, doświadczona w swoim redaktorskim fachu, konsekwentnie wracała do tematu rodzinnego przekładu, robiąc wokół tego pomysłu odpowiednią atmosferę. Dyskretnie, ale na tyle skutecznie, że tuż przed Bożym Narodzeniem w 2014 roku Grzegorz, który do tej pory nie wyobrażał sobie, jak w natłoku obowiązków miałby znaleźć jeszcze czas na coś takiego, wrócił z biegania i jak gdyby nigdy nic rzucił hasło: „Tłumaczmy! Piąty rozdział: »Pościg«”. Byli w domu sami z Leokadią. Wkrótce dołączył do nich Igor. Po latach pracy w korporacji związanej z branżą IT akurat zrobił sobie zawodową przerwę. Podobała mu się perspektywa pracy z misją, dla odmiany niepodlegającej presji czasu i statystyk.

Krużganek poświaty

Bywało, że przy jakimś fragmencie ktoś walił ręką w stół, ktoś inny wychodził z domu, trzaskając drzwiami. Gwoli ścisłości: na stronie tytułowej najnowszego wydania „Mistrza i Małgorzaty” znajdziemy trzy nazwiska



tłumaczy. Brakuje Anety, ale pozostali członkowie rodziny zgodnie twierdzą, że bez niej nic by z tego nie wyszło. Jej redakcyjne uwagi i błyskotliwe pomysły to jedno, ale to dzięki Anecie zażęgnywane były większe i mniejsze kryzysy. Godziła trzy silne osobowości i trzy różne spojrzenia na tekst. Weźmy Igora. On sam śmieje się, że korciło go, żeby tytuł książki zmienić na „Mistrz świata i Małgorzata”, ale postanowił się opanować. Kto go zna, wie, że potrafi – zgodnie z tym, co zostało już wcześniej powiedziane – wyczniać cuda z językiem polskim. Znajomi przyzwyczaili się do jego rebusów, ciągów skojarzeń, zmyłek słownych, które serwuje im i w realu, i na Facebooku. „Krużganek poświaty”, „płć przedziwna”, „na obiad złoty polski jesiotr drugiej świeżości, przecież pomidorowy i mielone światło” – to tylko próbka jego językowych szaleństw. Igor na studiach zajmował się slangiem, którym posługują się amerykańscy hip-hopowcy. Pracując nad przekładem książki, musiał co prawda poskramiać surrealistyczną wyobraźnię, za to przydało się jego wycucie dialogów, wrażliwość na „młody” język, świetna znajomość angielskiego i przekładu „Mistrza...” na ten język.

Nieocenione okazały się talent Leokadii do wy-najdowania błędów, których nie dostrzega nikt inny, jej doktorat z polskiego językoznawstwa i smykałka do przekładów tzw. „rozdziałów wodnych”. Jeśli gdzieś w książce pojawiała się woda – rzeka Moskwa, Dniepr czy zwykła fontanna – pozostali tłumacze zawierzali Leokadii bez reszty.

Przebindowie, pytani w wywiadach, czy planują jeszcze kiedyś wspólną pracę, odpowiadali zwykle, że to raczej jednorazowa przygoda. Ale kiedy mocniej podrażnić temat, Grzegorz Przebinda zaczyna się łamać: – Nie planujemy, chociaż nie wykluczamy.

Na razie zamieszanie wokół ich przekładu nie cichnie, Igor uruchomił stronę na Facebooku „Mistrz i Małgorzata. Nowy przekład”, regularnie wrzuca jakiś fragment, jest ciekawy cudzych opinii i pomysłów, także krytyki. Byle konstruktywnej. Przez dwa lata spotykali się we trójkę lub czwórkę kilka razy w tygodniu w mieszkaniu Leokadii i Grzegorza i tłumaczyli. Igor, ze swoim analitycznym umysłem, policzył, że wyszłoby z tego pół etatu. Teraz ich życie wraca po prostu na dawne tory. Rodzice jak zwykle jeżdżą do Krosna (zdecydowali się tam wykładać oboje, żeby „się w życiu nie mijać”, zdążyli przywyknąć, że połowę tygodnia spędzają tam, a połowę w Krakowie, byle razem). Aneta, właścicielka ukochanego przez całą rodzinę psa Cyryla (wziętego ze schroniska), z zawadiackim uśmiechem deklaruje, że lubi pracę fizyczną, i w ramach konserwacji zabytków w Krakowie wspina się

na rusztowania, wyrównuje, uzupełnia, skuwa cegły. Igor ostatnio sporo gotuje. Ograniczył mięso do minimum (sam nazywa siebie „prawie wegetarianinem funkcjonalnym”), dzięki czemu wrócił do sportowej formy. W czasie, kiedy po raz pierwszy mierzył się jako dziecko z Bułhakowem, zaczął też regularnie grać w koszykówkę. I ta pasja również została mu do dziś. Nadal trenuje, wciąż na tych samych boiskach na terenie miasteczka studenckiego, a częściowo także z tymi samymi chłopakami, którzy zdążyli w ciągu ćwierćwiecza podrosnąć.

Oczywiście wszyscy Przebindowie odwiedzili Moskwę, każde z nich przynajmniej raz było na Patriarszych Prudach, siedzieli na tej samej ławce, co Woland z Berliozem. Nigdy natomiast nie byli tam całą rodziną, zawsze kogoś brakowało, a reszta żałowała, że go nie ma. I to była dotkliwa nieobecność. Grzegorz: – Czasem musimy się od siebie na chwilę oddalić, żeby chcieć być znowu razem, ale najważniejsze, że posiadamy wspólną pamięć. Jeśli chwilowo nie możemy się ze sobą dogadać, to wtedy tę pamięć uruchamiamy. I już wiemy, ile nas ze sobą łączy. ●

